

Piotr Prokopiak

Schulz i Witkacy: intrygujący dyskurs odrębnych światów

Poza tą treścią przedstawioną z niezwykłą potęgą wyrazu niektóre z kompozycji Schulza zdają się prawie zbliżyć do ideału Czystej Formy...

(S.I. Witkiewicz, Wywiad z Brunonem Schulzem)

W historii polskiej literatury dwudziestolecia międzywojennego istnieją dwie osoby – dwie wizje – które wydają się odległe niczym zachód od wschodu czy północ od południa. Na jednym biegunie Bruno Schulz – nieśmiały „zawodowca gabinetu rysunkowego”, nauczyciel obsesyjnie przywiązany do zaściankowego Drohobycza, tworzący kontrowersyjne grafiki i wizjonerskie opowieści, w których codzienna rutyna przeistacza się w mit. Urodzony w 1892 roku pod zaborem austriackim w rodzinie zasymilowanych żydów. Nie znał języka hebrajskiego ani nie przestrzegał tradycyjnych zwyczajów religii mojżeszowej. W lutym 1936 zerwał nominalną przynależność do gminy żydowskiej ze względu na planowany ślub z Józefiną Szelińską. Biegłe posługiwał się językiem niemieckim, lecz to polszczyznę uznawał za swój język ojczysty. Jego osobliwą biografię może nie do końca trafnie podsumowuje stwierdzenie: „urodził się jako Austriak, żył jako Polak, zmarł jako Żyd”. W istocie był Brunonem Schulzem – polskim pisarzem żydowskiego pochodzenia. Na drugim – Stanisław Ignacy Witkiewicz, zwany Witkacym – ekscentryk, filozof, dramaturg, malarz, założyciel Firmy Portretowej, poddający swój organizm drastycznym eksperymentom ze środkami odurzającymi; człowiek, który swoją sztuką i życiem nieustannie prowokował, a nawet bulwersował opinię publiczną. Dziś określono by go mianem: „człowiek orkiestra”. Urodził się w 1885 roku w Warszawie w rodzinie szlacheckiej. Nie uważał się za religijnego. W młodości wiele podróżował, natomiast w czasie I wojny światowej walczył w szeregach armii Imperium Rosyjskiego. Pod koniec 1917 roku został zwolniony z wojska, a następnie był świadkiem okoliczności i konsekwencji rewolucji październikowej. Te doświadczenia odcisnęły na jego psychice trwałe piętno, które towarzyszyło mu po powrocie do odrodzonej Rzeczypospolitej, a także pośrednio, wiele lat później stało u podstaw metody śmierci, jaką sam sobie wybrał. Zatem już na wstępie możemy przekonać się o ich dogłębnej różności, wyrażającej się m.in. w drodze życiowej, pochodzeniu i dojrzewaniu do funkcji artysty w społeczeństwie. Wszak każdy z nas jest rzeźbiony dźwiękiem osobistych doświadczeń i decyzji. Poza niewątpliwym talentem Brunona Schulza i Stanisława Ignacego Witkiewicza (oczywiście każdego w swojej klasie), jedynym punktem wspólnym,

jakiego mogą się doszukać, to obojętny stosunek do religii (nie mylić z duchowością).

Kiedy wizualizują sobie ich postacie, pojawia mi się przed oczami pewne zdjęcie wykonane w latach 30. w mieszkaniu dr. Jana Kochanowskiego podczas jednej z witkacowskich „Maskarad”. Na fotografii rozpoznajemy rzeczony dr. Jana Kochanowskiego, Romana Jasińskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz Bruno Schulza. Nawet w tej scenie, zaaranżowanej tuż przed makabrycznymi dla Europy wydarzeniami, widać kontrast między interesującymi nas indywidualnościami. Witkacy w swoim stylu prowokuje i przeraża. Z mefistofeliczną miną szczerzy niekompletne użębienie i mierzy sztylcekiem w krocze Schulza, jakby czyniąc złośliwą aluzję do obaw przyjaciela przed kastracją. Tymczasem Schulz przytyka oczy palcami, wydaje się wystraszonym agresywną rzeczywistością, cofającym się do wnętrza swojego jestestwa. „Wizjoner” niechętny „widzieć”! Wizjoner wpatrzony w światy zalegające w opłótkach jaźni, zstępujący do korzeni nawarstwionych „po drugiej stronie rzeczy”. Przybrane przez artystów pozy jasno ilustrują dyktomiię w jednakim dla tych osobistości spektrum historii polskiej literatury. Diametralnie osobni, a jednak wspólni.

W naturze ludzkiej różnice często prowadzą do wojny, ale również do dialogu, który, choć nie zawsze skutkuje konsensem, to może stworzyć asumpt do fascynacji i rozwoju w postaci innych możliwości, interpretacji, sprowokowania do zadawania kolejnych pytań odnośnie do wszystkiego, co dotyczy człowieczej strony istnienia. Sugeruję, że tak właśnie było w przypadku piewcy Czystej Formy, jak również drohobyckiego autora „Mityzacji rzeczywistości”. Ich wzajemne kontakty nie nazwałbym przyjaźnią w sensie stereotypowym. Raczej mamy tu przykład specyficznej harmonii wynikającej ze spotkania dwóch odmiennych person, nieprzystających do banalnej i ordynarnej powszechności.

W Europie zmaltretowanej okrucieństwami I wojny światowej konstytuował się nowy ład. Po 123 latach nieistnienia na mapie Europy odrodzona Rzeczypospolita z mozołem budowała swoją tożsamość. Ten niespokojny okres zaowocował poruszeniem środowisk twórczych i pionierskimi teoriami mającymi pomóc w „oswojeniu” i zrozumieniu rzeczywistości w dobie ogólnej erozji wartości. Artyści na różny sposób próbowali ogarnąć ferment i dezaktualizację dotychczasowych, przestarzałych modeli (wzorów) porządku świata. Witkacy reaguje na to postulatem „Czystej Formy” – teorią uniezależnienia się

sztuki od treści¹, natomiast Schulz podąża (ucieka) w głąb – w „mityzację rzeczywistości”, czyli nadanie blahym i banalnym wydarzeniom rangi mitu.² Każdy z nich na różny sposób zareagował na zaistniały, identyczny problem – utratę stabilnych punktów oparcia w nowoczesnym świecie. Witkacy – „wariat zrozpaczony” (określenie Gombrowicza) pisał dramaty pełne groteski i apokaliptycznych obrazów, w których atakował i dopuszczał się śmiałych prowokacji. Schulz z kolei chował się w stworzony przez siebie mikrokosmos Drohobycza, gdzie sklep ojca przeobrażał się w uniwersum zaś najbliższe otoczenie w arenę metafizycznych metamorfoz.



Jan Kochanowski, Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy), Roman Jasiński i Bruno Schulz, Warszawa 1934, fot. Jan Kochanowski / archiwum E. Jasińskiej / Fotonova

Według wybitnego znawcy tematu Jerzego Ficowskiego, do pierwszego spotkania Bruno Schulza i Stanisława Witkiewicza doszło w 1925 roku w Drohobyczu. Od tej chwili, aż do wrześniowej apokalipsy 1939, ich drogi co pewien czas się krzyżowały. Znamienne dla początków tej inspirującej znajomości były spotkania w Zakopanem, gdzie m.in. przewija się postać Debory Vogel – autorki tomu „Akacje kwitną”. Jednak dopiero od 1934 roku ich wzajemne kontakty stają się bardziej bliskie i zażyłe, czego wyrazem będzie częsta, deklarowana przez obie strony przyjaźń.³ Znaczący wpływ na pogłębienie relacji miało wydanie „Sklepów Cynamonowych” Bruno Schulza, które to Witkacy określił „zjawiskiem na granicy genialności”. Dla przykładu: sylwestra 1934/35 spędzają razem w mieszkaniu Witolda Gombrowicza (trzeciego z nowatorów polskiej, a w istocie światowej prozy) przy ulicy Chocimskiej w Warszawie.

Interesującym świadectwem dokumentującym bliskie stosunki pisarzy jest ocalała, skromna część korespondencji oraz artykuły prasowe, które znamienne ilustrować zaistniałe, artystyczne porozumienie tych, wydawać by się mogło skrajnie odmiennych